Rozmaitości

Nr 50.

Dnia 10. Grudnia 1836 Roku.

OBRAZY PARYŻA.

Przez Xaw. Bronikowskiego.

VIII.

NOWE POWOZY. NOWE PISMA. SZKOŁY SPIEWU. WYSTAWA TOWARZYSTWA OGRODNICZEGO.

W przeszłym artykule wspomniałem o nowych zmianach w tutejszych powozach publicznych, o zniżeniu ich ceny, o jednokonnych karétkach. Gdzie indziej czekanoby lat kilkanaście do robienia nowych, w jednym rodzaju przedsięwzięć; na ruchawym gruncie tutejszym wszystko ciągle się zmienia, przeistacza, i o piérwszeństwo ubiega. Jeszcze się nie upowszechniły jednokonne karétki, jeszcze świéżość ich przypomina, że nie dawno wyszły z warsztatów, jeszcze się nie zszarzały ubiory ich stangretów, a już przedsiębierstwo nowych powozów, zwanych *urbaines*, wchodzi z niemi w zapasy. Towarzystwo, które sto parokonnych *urbaines* w obieg puszcza, przeznacza na ten cel pół milijona franków. *Urbaines* tém się różnią od innych powozów publicznych, że się nie najmują na kursa, ale tylko na godziny, na pół dnia, albo na cały dzień, po 2 fr. na godzinę, po 10 fr. na półdnia, po 18 fr. na dzień, i za taką samę cenę można niemi jeździć nie tylko po ulicach Paryża, ale także po za obrębem murów stolicy, aby tylko odległość przejazdki tam i na powrót, nie przenosiła w jednym dniu 10 *lieues* (5 mil. pol.). Ale główna ich różnica i nowość na tém zależy, że każdy z tych stu powozów ma, jeźli nie odmienny kształt, to przynajmniej inny kolor, inną, na sposób angielski skrojoną liberyję; nié ma na żadnym ani śladu, że to powóz do najęcia: sąto na pozór nie remizy, ale niby prywatne karéty, kocze, kolaski, berliny, landarki, dorożki, szarabany. Dodając sześć *sous* na godzinę można mieć za takim powozem galonowanego lokaja. Powozy te stoją na dziesięciu najgłówniejszych punktach Paryża; wszyscy wiedzą, że są do najęcia, a jednak nikt nie zdoła rozróżnić ich od powozów prywatnych. Jestto wielka i niekosztowna dogodność dla osób, które się chcą łudzić posiadaniem niby własnych powozów, albo które przed innémi posiadanie ich udają.

Inne towarzystwo przedsięwzięło zaprowadzić powozy, zwane *industriels*, z których każdy podobny do zwyczajnych omnibusów, mieści kilkanaście osób, na pobocznych ławeczkach, miękkich, elastycznych, suknem pokrytych. Lubo dla wygody Paryżanów zaprowadzone, lubo Paryż przy życiu je utrzymuje, nie przerzynają jednak ulic paryzkich i nigdy się na nich nie pokazują. Krążą tylko koło tego wielkiego miasta i są niejako pośrednikami ostatnich onego krańców. Paryż ma przeszło siedm *lieues*, blizko cztéry mile polskie obwodu; na téj saméj przestrzeni opasany jest murem i pięćdziesiąt pięcioma rogatkami. Do koła tego muru, wzniesionego nie dla obrony miasta przeciw nieprzyjacielowi, ale dla obrony dochodów skarbowych przeciw przemycaniu wina, wódek, mięsa, i tysiącznych innych artykułów, od których na rogatkach pobiérają opłatę, ciągnie się széroka, niebrukowana, drzewami wysadzona droga, zwana *bulwarem zewnętrznym*, dla odróżnienia od bulwarów, wewnątrz miasta będących, a oddzielających je od okazałych i bogatych przedmieść. Otóż powozy *industriels* chodzą po tych bulwarach zewnętrznych, po téj cztéro milowéj alei, prawie zawsze błotnistéj

i zawsze pełnéj ruchu. Bo Paryż nie kończy się przy swoich rogatkach, przy swoim murze cłowym. Gminy, wioski, pola poblizkie, zamieniły się od dawna w porządne miasta, które lubo mają rząd municypalny, niezawisły od stolicy, przecież pod względem policyjnym od Paryża zależą. Ten, bezpośrednio od rogatek samych zaczynający się dalszy ciąg ulic Paryża, nazywa się *banlieu* i ma rozmaite nazwiska dawnych gmin i wiosek. Liczą dziś przeszło stotysięcy ludności w tych pazarogatkowych miastach, zwanych Neuilly, Belleville, Montmartre, Batignolles, Passy, La Chapelle, Vilette. Codziennie, a szczególniéj w niedziele, ludność Paryża spożywa w nich niezliczone mnóstwo beczek wina i wiktuałów, które tu cła nie opłacając, tańsze są, niż w obrębie Paryża. Tak więc *industriels* krążą między Paryżem a *banlieu*, satelitami nie tylko swego wielkiego słońca, ale razem pozarogatkowych planet; zatrzymują się tylko przy znaczniéjszych rogatkach i pobiérają w miarę odległości po 2, 3 i po 4 *sous* od osoby.

Pomimo, że od lat kilku we wszystkich prawie znaczniejszych miastach francuzkich pisma peryjodyczne, rozmaite nauk przedmioty za cel mające, zaczęły wychodzić, co dawniéj nieznaną było rzeczą, gdyż zwykle tylko Paryż zaopatrywał departamenta w pisma peryjodyczne, nie zmniejsza to jednakże działalności tutejszych literackich przedsiębierców; owszem zdaje się, że tutejsza literatura peryjodyczna, zagrożona ruchem departamentowych swoich spółzawodników, podwaja gorliwość, z obawy, ażeby nie straciła berła, którém prawie wyłącznie władała. Doniósłem już, jakie pisma peryjodyczne w tym roku tutaj wychodzić zaczęły; do ich liczby dodać należy następujące pisma: *Moniteur de la propriété et de l'agriculture*, w przedmiocie gospodarstwa wiejskiego i miejskiego; *Journal des tissus*, zawiérający opisy rozmaitych tkanin, stan ich fabryk i ceny tak piérwszych materyjałów, jak wyrobów tkanych; *Miroir des dames*, dziennik mód i teatrów, raz na tydzień z ryciną; *l'Estafette des modes*, także dziennik mód, ale nie dla dam, tylko dla tych, którzy się trudnią robieniem rzeczy modnych, a zatém poświęcony krawcom, perukarzom, modniarkom; pod tym względem, jestto dziennik w swoim rodzaju zupełnie nowy; *Educateur* dziennik pedagogiczny, wydawany przez towarzystwo, które się nazwało instytutem moralności powszechnéj; *Figaro*, dziennik wieczorny treści satyrycznéj, zaczął wychodzić od 1. października; w tym samym czasie zjawiły się piérwsze numera gazety codziennéj politycznéj *la Charte*; dwa pisma prawnicze zapowiedziane są od 1. listopada, jedno miesięczne, które ma zawiérać rozprawy w rozmaitych przedmiotach prawa, pod napisem: *le Jurisconsulte*, drugie codziennie *Journal général des Tribunaux*, opisujące ważniéjsze i ciekawsze sprawy, tak cywilne, jak kryminalne. W tym samym przedmiocie wychodzą dwa inne codzienne pisma; zapowiedziane teraz takiéj saméj, jak tamte objętości, tańsze jest od nich o połowę. Wydawcą tego pisma jest p. *Ludwik Wołowski*, młodzieniec, który w Paryżu skończył nauki prawnicze, a zostawszy tutejszym adwokatem, od lat trzech wydaje pismo: *Revue de la legislation*, w zeszytach miesięcznych wychodzące. Od 1. listopada zaczęło także wychodzić codzienne pismo peryjodyczne *le Monde*, treści politycznéj, w pięciu przedziałkach na stronicy; *Journal des chasseurs*, dziennik myśliwstwu, i *l'Echange*, handlowi poświęcony.

Nie są to zapewne przedsięwzięcia piérwszego rzędu, nie wyrównają co do nakładów i treści wydaniom ozdobnym rozmaitych dawniéjszych i nowszych pisarzy francuzkich i zagranicznych, jak np: *Panteonowi historycznemu* w stu tomach, wydaniom niemieckim Schillera, Goethego, Tiecka, Richtera, które tu tego roku dokonane zostały; ale jako pisma peryjodyczne, mają tę przed innémi wydaniami ważność, że wskazują najlepiéj spółczesny stan literatury, zdolności żyjących pisarzów i dążność czasu, gdy tymczasem inne, lubo nierównie większe przedsiębierstwa księgarskie i literackie, nie noszą na sobie tego znamienia, a przynajmniéj nie w stopniu, jak tamte.

(Dokończenie nastąpi.

B A L.

Powieść historyczna.

W zatoce Mexykańskiéj jest mała wysepka St. Eustache zwana. Anglicy i Holendrzy walczyli o nią r. 1781 na morzu i na lądzie z taką zawziętością, na jaką nie zasługiwały te

nędzne skał urwiska. Anglija w tym boju straciła przeszło pięćdziesiąt okrętów i więcéj jak dziesięć-tysięcy ludzi, a handel Holandyi czuje dotąd jeszcze owe natężenia, na jakie był wystawiony dla popiérania tak upornie prowadzonéj wojny. Nakoniec admirał Rodney łącznie z jenerałem Wangham, opanował wyspę i postawił w niéj załogę angielską. Lecz któż ponosił koszta wojny? Oto nieszczęśliwi mieszkańcy osady, od których zwycięzcy i zwyciężeni za równo wybiérali okup, których za równo rabowali i podpalali, pod pozorem, że wyspiarze lub zdradzali ich, lub źle obchodzili się z nimi.

Margrabia de Bouillé, sławny poźniéj przychylnością swoją ku królowi Ludwikowi XVI., równie jak jeniuszem swoim i odwagą, okazaną w walkach razem z Lafayettem, był w onym czasie gubernatorem Martyniki i wysp do niéj należących, tudzież naczelnym jenerałem wójsk króla francuzkiego. Holendrzy, połączeni z Francuzami ku wsparciu powstałych przeciw Wielkiéj-Brytanii Amerykanów, uważali to za sprawę honorową dla bandery francuzkiéj, nie ciérpiéć hańby i zniszczenia zacnych obywateli Amszterdamu. P. de Bouillé poprzysiągł przeto na szpadę swoję, że lub zginie, lub wyspę St. Eustache prawnym jéj posiadaczom powróci.

Gdy się o téj przysiędze na wyspie St. Eustach dowiedziano, bardzo żartowano z tego, a jenerał Cokeborn, gubernator nowych zaborów angielskich, był niewyczerpany w żartach ze swojego szlachetnie myślącego i wielko-dusznego przeciwnika, jak zwykł był pana de Bouillé nazywać. Szyderczo spijano zdrowie poczciwych Francuzów i codzień u stołu jego podrzyźniano więcéj wykwintny, jak wojowniczy ton jego przeciwnika. Pewnego poranku, gdy Cokeborn przechadzał się po strasznéj grobli twierdzy St. Eustache, i poklaskując ręką po każdém dziale, pytał się, co żelazną paszczą swoją odpowiedzą na bezwstydność małego margrabi; jeden z oficérów jego orszaku pokazał mu w fosie nieszczęśliwego kotka, który utonął, usiłując na prożno na ląd się dostać. Gubernator wziął to za epigram na margrabiego, obrócił się do Johna Smith, zwykle wychwalającego p. de Bouillé, i rzekł:

»John, zakładam się o 100 gwineów, że mój szlachetnie myślący i wielko-duszny przeciwnik, jak ten kot utonie, skoro się pokusi do wzięcia bronionéj przeze mnie twierdzy.«

»Byćto może,« odpowiedział John. »Wćpan jenerale jesteś dzielnym przeciwnikiem, i jakto mówią, pod szczęśliwą urodziłeś się gwiazdą, lecz i Francuzi są odważni, a szczęściu, tak jak morzu, dowiérzać nie należy. Ten Bouillé jest w istocie kotem, który tu na ląd drapać się będzie, i da nam poczuć ostrość swoich pazurów. Nie śmiéjmy się przeto zawcześnie.«

»No! idzie o 100 gwineów, Smith? O reszcie wiedzieć nie chcę.«

»Margrabia zaklął się, że lub zginie, lub St. Eustache zdobędzie; idzie przeto o 100 gwineów mości jenerale.«

»John, wćpan widziałeś ile mamy dział, ile wojska, ile majtków, a ile walecznych dowódzców! Urodziłeś się na téj wyspie, przeto o tém wszystkiém wiész dokładnie.«

»Wiém o tém wszystkiém, a jednak spodziéwam się wygrać 100 gwineów. Powiadam wćpanu, mości jenerale, że nie utrzymamy się przy St. Eustache. Tą razą znieważamy godło Anglii: *Dieu et mon droit!* Wygram 100 gwineów wćpana.«

Cokeborn dnia tegoż otrzymał na powrót jeńców, których mu przysłał margrabia de Bouillé, ażeby, jak się w liście wyraził, pomocnymi mu byli przy obronie skalistéj wyspy, którą wziąć zamyśla. Anglik tém szyderstwem mocno był dotknięty i przez całą godzinę mówił tylko o utonionym kocie. John Smith był na to spokojny, miał przed sobą butelkę madery, śmiał się, klasnął w ręce i pytał jenerała, co ma zrobić z jego 100 gwineami. Jenerał był w najwyższym stopniu rozgniewany i zaklął się, że sir John nie wygra tych pieniędzy, a mały margrabia szyderstwo swoje drogo odpłaci. Jeźli który z obu dowódzców mógł być samochwałem nazwany, to bynajmniéj nie p. de Bouillé, gubernator Martyniki, który Anglików i ich sprzymierzeńców kilkakrotnie pobił, a przytém wyszczególniał się wiadomościami i osobistą przyjemnością. Oficérowie jego wychwalali w nim waleczność, zimną krew i trafność jego zamysłów, a damy małego dworu jego, które w około siebie w twierdzy Royal zgromadził, z nie mniejszém uniesieniem sławiły jego postępowanie i zgrabną powiérzchowność. Bouillé wiedział bardzo dobrze o żartach

swojego przeciwnika, lecz te nie gorsząc go bynajmniéj, śmiéch w nim tylko obudzały.

Podczas gdy nieprzyjaciel jego przesadzał prawie w ostrych przycinkach i wojennych przygotowaniach, Francuz spokojnie i wesoło, jak gdyby nie było wojny między starym a nowym światem, podpisywał razem rozkazy wojenne i zaprosiny na bal, który w twierdzy Royal dać zamyślał. Margrabia de Bouillé był jednym z owych rzadkich ludzi, których już nié ma w teraźniéjszéj Francyi, lecz których pełno było w wieku 18stym w Paryżu; byłto jeden z owych od nieba ubłogosławionych mężów, jak się zdaje, jedynie na to stworzonych, ażeby pokazać, jak wielką jest moc natury; jeden z owych duchów, jak np: Mirabeau, których życie upływa pomiędzy rozrywkami a pracą, między cierpieniem a radością, między rzeczami najmniejszéj i największéj wagi. — Bal margrabiego dany miał być w nocy d. 15. listopada.

W piérwszym tygodniu tego szczęśliwego miesiąca francuzki admirał Grasse na czele 25 okrętów wojennych opuścił St. Pierre. Kilkoma dniami wprzódy wypłynęły cztéry fregaty, dla polowania na cztéry angielskie, które, jak się zdawało, chciały uderzyć na transporta francuzkie. Fregata *St. Esprit*, po daremném szukaniu Anglików, połączyła się z wielką flotą; fregata *Eveille* dążyła z powrotem do twierdzy Royal, ale po drodze zdybawszy małą angielską goelottę, wzięła ją i zdobycz swoję prowadziła do zatoki téj twierdzy. Zostawała ona pod rozkazami pewnego oficéra Cokeborna, a ten żądał być przedstawionym panu de Bouillé, do którego rzekł:

»Mości margrabio! najlichszy z mieszkańców wysp téj zatoki zasłyszał, jak wysławiają dzielność oręża wćpana i jego miłe znajdowanie się; nawet dumni kraju tego mieszkańcy wyznać musieli, że od wćpana uczyć się mogą. Zwycięztwa jego i owe świetne bale, któremi je obchodzisz, i u nas równe podziwienie znalazły, lubo nie mamy tego szczęścia mieć pomiędzy naszymi dowódzcami tak wielkiego naczelnika, i z całą walecznością, z całą okazałością angielską, jesteśmy w rozpaczy, że wćpanu zrównać nie możemy. Jestem oficérem Cokeborna, a jenerał mój więcéj jak kto inny zazdrości margrabiemu jego wielkiéj sławy i téj tak niewymuszonéj wesołości. Gdy goelotta nasza wziętą została, nie krążyliśmy w około Martyniki; chcieliśmy prosto przybyć do wćpana, złożyć mu od gubernatora wyspy St. Eustache zapewnienie szacunku i podziwienia, i prosić go mości margrabio, ażebyś przyjął dziesięć pięknych żółwiów, które znaleziono na piaskach wyspy naszéj.«

»Panie poruczniku,« odrzekł gubernator Martyniki; »jesteś wolnym, wćpan i wszyscy jego towarzysze. Powracaj na twojéj goelocie do St. Eustache i powiedź panu de Cokeborn, że więcéj niż kto inny miałem sposobność poznać jego waleczność i zdolność wojowniczą, ponieważ niebo obdarzyło mię tą łaską, iż kilka słabych odniósłem nad nim korzyści. Nie zapomniałem o pięknéj jego obronie. Żółwie wćpana z wdzięcznością przyjmuję, wiém jak jest smaczne ich mięso i tak dobrze jak ja, wiedzą o tém wszyscy żołniérze francuzcy, od lat trzech tu walczący. Wćpanowie posiadacie wyspę, którą słyszałem zawsze sławioną z jéj ostryg i żółwiów. Mój kuchmistrz wynalazł sos, i sądzę, że przy tych żółwiach wybornie smakować będzie. Podziękuj wćpan za nie panu de Cokeborn; wielkito z niego smakosz. Byłobyto dla mnie rzadką przyjemnością tak się z nim zmierzyć u stołu, jak się już nie raz na lądzie i na morzu mierzyłem. Co wćpan sądzisz, czy zrobi mi ten zaszczyt i z całym sztabem swoim zechce być u mnie na balu, który daję dnia 15. listopada? Kreolki są ładne, jak wiadomo wćpanu, przyjemne jak Francuzkie, a jak Hiszpanki powabne. Oficérowie wasi zaufać mogą mojemu słowu i przybyć do mnie dla potańczenia w mojéj sali. Chciałbym chętnie zasłużyć na owe pochwały, jakie wćpanowie gustowi mojemu oddajecie i wywdzięczyć się za wyświadczoną mi grzeczność.«

Popisano bilety zapraszające, które sam Bouillé podpisał, przyczém z taką postępował gracyją, jak gdyby znajdował się na dworze Wersalskim. Oficér, mający do niego tę ironiczną przemowę, sam został postępowaniem jego ujęty i prawie niém oczarowany powracał. Wziął dla siebie i kolegów swoich listy zabezpieczające, ale zawieszenia broni, o które prosił, otrzymać nie mógł. W tym tylko punkcie był Bouillé nieugiętym, lecz w oczach Anglika byłato tylko drobnostka. Dnia 15. listopada około wieczora okręt

angielski z rozwiniętémi chorągwiami zawinął do zatoki twierdzy Royal. Warownia St. Louis powitała go 21 wystrzałami z dział. Wkrótce otoczyło go mnóstwo szałup francuzkich, mających wysadzić na ląd oficérów, znajdujących się na jego pokładzie. Oficérowie przybyli w jedwabnych pończochach, po większéj części bez broni. Bogatsi mieli u boku małe szpadki balowe ze złotemi rękoiściami. Sam Cokeborn nie przybył, nie chcąc powierzonéj mu twierdzy opuszczać.

Gdy cały świat piękny zgromadził się w sali, oddalił się margrabia de Bouillé i kazał do gabinetu swojego przywołać marszałka dworu i kapitana okrętowego, któremu admirał Grasse, oddalając się z częścią floty, dowództwo nad resztą okrętów poruczył. »Jakże tam z wieczerzą, Fránciszku?« zapytał marszałka dworu. — »Wyborna będzie Jw. Panie.«

»Mości kapitanie,« rzecze zwracając się do tegoż, »chciałem widzieć się z wćpanem, by mu zadowolenie moje wyrazić względem dobrego porządku, panującego w zatoce. Czy *Medea* już naprawiona?« — »Zupełnie Jw. Panie.«

»Możesz wćpan okręty *Medeę* i *Amazonkę* poddać pod moje rozporządzenia?«

»I *Galateę*, gdy sobie Jw. Pan życzy.«

»Bardzo życzę, nawet i *Orła*; potrzebuję téj korwety, dobrze żegluje... Fránciszku! uważaj tylko, ażeby mi kuchmistrz swoim sosem żółwiów nie popsuł. Ten oto pan i ja chcemy dzisiaj smaczno jeść, bo zapewne téj nocy przyjdzie nam tęgo się zwijać.«

»Pan margrabia zapomniał, że nie tańczę,« odrzekł kapitan.

»Tego tańca, do którego wćpana dziś wezwę, chętnie zapewne tańczyć będziesz, a król, który już o tém uwiadomiony, nie zaniedba na mój wniosek okazać wćpanu swojéj wdzięczności. O północy zatém niech okręty *Medea*, *Amazonka*, *Galatea* i korweta *Orzeł* będą w pogotowiu. Każ wćpan okrętowi angielskiemu w St. Pierre zarzucić kotwicę i nie zapomnieć co najważniejszego... A ty Fránciszku miéj się na baczności, ażebyś nie dawał kuchmistrzowi dużo korzeni; korzenie mogłyby cię zgubić mój kochany Fránciszku; pomniéj, że tu idzie o twoję i moję sławę; kiedy stracą wyspę, niech przynajmniéj dobrą wieczerzę zjedzą. A teraz odejdź... Wćpan mości kapitanie, zrobisz to wszystko, co mu powiedziałem, i także cztéry wielkie łodzie miéć będziesz w pogotowiu. Rozkaż hrabiemu Dillon i majorowi Frene, ażeby osadzili okręty: piérwszy irlandzką brygadą swojego pułku; drugi strzelcami swoimi i 100 ludźmi pułku Auxerrois. Z O'Connorem już się widziałem; o godzinie 11téj weźmiesz go wćpan na okręt z całym pułkiem Walch.«

»Ale dokąd mamy się udać, mości margrabio?«

»O tém dowiész się poźniéj; a tymczasem zatrzymaj to wszystko w głębokiéj tajemnicy. Gdyby oficérowie angielscy spostrzegli ruch jaki, trzeba im powiedziéć, że myślémy jutro wyprawić dla nich popis na morzu. Ja wsiądę na *Medeę*, a wćpan dowodzić będziesz korwetą. O północy ma być wszystko w pogotowiu! A teraz pójdźmy do stołu! Spodziéwam się, że nie zechcesz opuścić balu. Nie zaniedbaliśmy niczego, coby go zrobić mogło godnym wyboru dwóch największych narodów Europy.«

Wieczerza odpowiedziała oczekiwaniom margrabiego. Kuchmistrz popisał się w najwyższym stopniu, a marszałek dworu wszystko jak najlepiéj urządził. Po wieczerzy nastąpił bal i wszystkich przepychem swoim oczarował. Zdawało się, że salony w ogniu gorzały, taki blask od światła odbijały źwierciadła. Wonne powietrze morskie cisnęło się przez otwarte okna i jedném tchniem owiewało tak migające się światła, jakoteż kibici zgrabnych, ulotnych tancerek. Nigdy niebo nie było tak błękitne, nigdy księżyc nie przyświécał tak żółto. Gdy z morza na widnokrąg się wznosił, wyglądał jak młoda Mulatka, wychodząca z łaźni wieczornéj. Gwiazdy tańcujące niejako podług ziemskich melodyj, zdawały się na przestworzu niebios formować grupy i chóry. Wiatr rozwiewał włosy młodych Kreolek i skradał całusy z ich rozkosznych ustek. Bal był czarujący. Około dam cisnęło się mnóstwo młodych mężczyzn w sukniach, wyszywanych złotem, i z piórami na kapeluszach. Te chwiały się w lekkim obłoku, utworzonym z pudru, który z peruk ulatywał. Grano najpiękniejsze melodyje z oper Gretrego. Śmiano się, rozmawiano, i witano z największą serdecznością. Wszyscy zachwycali się balem. Margrabina de Bouillé robiła honory balu i wyglądała przytém jak księżna. Oficérowie angielscy zaręczali ciągle, że zdziwieni są tak wielkim przepychem, wytwornością i gościnnością.

Niektórzy z nich przegrywali pieniądze przy zielonych stolikach, inni znowu wygrywali je w szachy. Niegrający w karty tańczyli *sarabandę* z ładnémi uczęstniczkami balu. Wszyscy w równym upojeni stopniu, zapominali, że się znajdują w kraju nieprzyjacielskim, i że nazajutrz może na polu bitwy przeciw sobie wystąpią. Margrabia de Bouillé wglądając we wszystko, miał staranie o potrzebach gości. Ubior jego przechodził najświetniejsze tak przepychem, jakoteż gracyją. Jedwabne pończochy jego były delikatniejszego koloru, niż barwa róży; jego sprzączki u trzewików śkliniły się z daleka, a żaboty, które miał na sobie, rubinami i szmaragami okryte, byłyby zawstydziły ogón najpiękniejszego pawia. — Podczas gdy do tańca zachęcał, szepnął mu pan de Taverny: »Smutną, bardzo smutną wiadomość przynoszę mości jenerale; zaledwo śmiém ją powtórzyć.«

»Cóż takiego wicehrabio? Czy lodów, czy ananasów zabrakło?« — »Kompanija z pułku Auxerrois nie chce wyruszać!«

»Wyruszać? O téj godzinie? Dokąd?« zapytali jednogłośnie oficérowie angielscy.

»Zapewne do łóżka,« odpowiedział margrabia de Bouillé swoim zwykłym wesołym tonem. »Nie uważajcie panowie na słowa Tavernego, o niczém ón nie marzy, jak tylko o buntach, marszach i kontr-marszach. Wicehrabio, każ dać kompanii 100 butelek szampana i niech spać idzie. Chcieli nam popsuć radość niespodziewaną, jaką mieliśmy zamiar sprawić wćpanom, przygotowując się do pokazania wam jutro rano tego wojska w porządku bojowym i z rozwiniętémi chorągwiami. A teraz niech wojsko spać idzie. Nie chcemy robić mu tego honoru, ażebyśmy bez niego obejść się nie mogli. Lecz być może, że jutro nawet przeglądu nie będzie. Przeto panowie tańczcie i pijcie i nie myślcie o dniu jutrzejszym. Ty zaś Taverny ani słowa więcéj. Wszystko u ciebie w czarnym kolorze. Niechaj ponaléwają kielichy i pijmy!« — »Oszalał!« pomyślał surowego charakteru wicehrabia.

Margrabia de Bouillé opuścił dom swój o północy tylnémi, skrytémi drzwiami. Czekała nań szalupa koło warowni St. Louis. Na okręcie *Medea* przyjęty został od części sztabu swojego. Nie należącym do wyprawy oficérom nie przeszkadzano w zabawie. »Gdzie jest Dillon?« zapytał margrabia. »Nie chce opuścić sali, ponieważ tańczy z panną de Lasanne; zakochani mości margrabio...« — »O'Connor, powróć wćpan do sali balowéj i powiedź téj pannie, że zaklinam ją imieniem ojczyzny, ażeby dłużéj nie tańczyła, i ażeby uwolniła swojego tancérza, gdyż go potrzebuję. Niech zemdleje, lub jaki inny znajdzie do tego powód.

Za przybyciem Dillona na pokład, eskadra francuzka wypłynęła z zatoki na morze, a nazajutrz o wschodzie słońca przybyła do kanału St. Łucyi. Oficérowie wszystkich okrętów i pułków otoczyli margrabiego do Bouillé. Wielu z nich było jeszcze w strojach balowych, i tylko na prędce zatknęli za swoje morowe pasy po parę pistoletów, a szpadki balowe zamienili na dobre pałasze. P. de Bouillé pozostał w swoim stroju balowym.

»Moi panowie,« rzekł donośnym głosem i rękę swoję od pierścieni błyszczącą oparł na rękoiści drogiemi kamieniami wysadzonéj; »boli mię to mocno, że wćpanów tak prędko od ich tancerek oderwać musiałem, ale Francuzi wiedzą o tém dobrze, iż obowiązek ważniejszym jest od rozrywki. Chcecie wiedzieć zapewne dokąd płyniemy? zaspokoję waszę ciekawość: chcemy panu Cokeborn oddać wizytę. Oficérowie jego tańczą u mnie, a my potańczymy u niego; jak się to wćpanom podoba?«

»Do St. Eustache! Do St. Eustache!« krzyknęli wszyscy.

Dnia 16. listopada z rana ujrzano wyspę St. Eustach. Okręty przewozowe zarzuciły kotwice, ale fregaty pozostały przy rozwiniętych żaglach, dla przeszkodzenia tancerzom angielskim, ażeby na wyspę nie powrócili. Morze było w wysokim stopniu wzburzone; tylko 400 ludzi mogło wylądować, co z wielkiém niebezpieczeństwem się stało. Bałwany morskie uprowadziły kilka szalup, a niektóre zgruchotały; wielu majtków utonęło. Nakoniec Dillon, na czele brygady swojéj, wdarł się do szérokiéj Sawanny, nad którą miasto leży. Tam rekruci angielscy na murawie ćwiczyli się w broni, i dosyć było 20 wystrzałów karabinowych, by ich do ucieczki zmusić.

Cokeborn siedział spokojnie w krześle poręczowém, chwalił przed Johnem Smith swoję przebiegłość, i opowiadał mu, jakim żartem skłonił margrabiego de Bouillé do dania balu jego oficérom. John Smith na to wszystko zawsze tylko się pytał, co ma zrobić z owémi 100 gwineami gubernatora, a gubernator wciąż mówił o utonionym kocie. Margrabiemu przyszło w istocie z trudnością dostać się na skały. Po wielkich trudach i natężeniu cała mała armija Francuzów zebrała się razem, i nie tracąc czasu, posuwała się ku warowni. O'Connor przybył tam właśnie, gdy straże most zwodzony do góry wciągnąć chciały, lecz padły pod razami Francuzów. Frene wziął sześciuset Anglików w niewolę, których po większéj części śpiących zastał. Mając najgłówniejsze stanowiska w swojéj mocy, uderzył Bouillé na dom gubernatora. W kasie znalazł pięć milijonów gotówką, lecz pieniądze te były po większéj części własnością nieszczęśliwych mieszkańców wyspy St. Eustache, ponieważ ad-

mirał Rodney przed odjazdem swoim zmusił ich do złożenia znacznéj summy, jako zakład wierności. Złożyli zatém 3 mil. 20,000 frank., reszta była własnością Anglików, i tę kazał Bouillé po między wojsko swoje rozdzielić, oddawszy wyżwzmiankowaną summę jéj prawnym właścicielom.

Cokeborn dostał się w niewolę. We dwa tygodnie po tym wypadku wypuścił Bouillé jenerała angielskiego na wolność, a wyspę oddał Holendrom. I poźniéj jeszcze dawał świetne bale, lecz nieprzyjaciele jego strzegli się już bywać i tańczyć na nich.

— Ze Lwowa. —

Sławny nasz skrzypek Karol Lipiński przybył do Wrocławia, gdzie dnia 26. listopada miał dać koncert.

Z Warszawy. *Wianek*, noworoczuik na r. 1837, przez Karola Korwella zebrany i ułożony, stosownie do zapowiedzenia wyjścia jego, jest już pod prasą; wydawcą jest i tą razą J. Kaczanowski, a ryciny są wykonane przez najbieglejszych rytowników w Anglii. — Wystawa sztuk pięknych w pałacu Kazimirowskim, ozdobioną została jednym z arcydzieł Antoniego Brodowskiego, to jest: ogromnym obrazem przestawiającym *Hektora i Parysa*. (K. W.)

Z Krakowa. Od 1. listopada r. b. wychodzi tu nowe pismo czasowe: *Zbiéracz literacki i polityczny*. Od nowego roku wychodzić mają następujące nowe pisma: *Radegast*, tygodnik literacki, którego wydawcą Helzel, i *Gazeta literacka*, wychodzić mająca pod redakcyją pana Łukaszewicza, który, jak donosiliśmy, wydał temi dniami: *Rys historyi literatury polskiéj*. Czech wydaje: *Zbiór powieści nowszych pisarzy polskich*.

Z Pragi. W dziele, wydaném po czesku w Pradze r. 1835: *Opisanie królewskiego miasta Pragi dla cudzoziemców i domowych*, przez Karola Ladysława Zapa,*) z dwoma widokami litografowanemi: Małéj-Strony z królewskim grodem, i Staromiejskiego rynku, tudzież z najnowszym planem Pragi i jéj okolic; str. IV-345, w 12ce.— Znajduję się tam na str. 147 opis byłego kościoła S. Wawrzyńca na Pietrzynie z trzema kaplicami. Początek jego bardzo jest dawny, jeszcze książę Polski Bolesław Chrobry założył go r. 1003, na tém miejscu, gdzie starzy Czechowie ku czci sławiańskich bożyszcz dniem i nocą nieustanne ognie paliwali. W poźniejszych czasach wiedziona była do tego kościoła, w r. 1770 przestawionego, krzyżowa droga, licznie od nabożnych w czasie wielkanocnym odwiedzana. Jednak kościoł ten r. 1784 zamkniętym został i tylko w kaplicach przed tym kościołem stojących nabożeństwo się odprawia. — Wyszła także w Pradze przewodem i nakładem W. Szpinki: *Kytka. Dar umieny zpiewu na r.* 1837; *swil dr. J. K. Chmeleńsky*; str. 120, w 16ce. Ten zbiór pieśni, zamykający ich w sobie 50, jest pióra pp. Fr. Lad. Czelakowskiego, Wacł. Hanki, Fr. Jar. Kamenickiego, Sim. K. Machaczka, J. Hen. Marka, Wac. Jar. Pizka, Fr. B: Trojana, J. K. Chmeleńskiego. Pochwalić należy piękne wydanie tego dziełka, czém się zaszczytnie księgotłocznie w Pradze odznaczają. *A.*

Z Pesztu. Nasz Serwaczyński dawał tu na wszystkich Swiętych (d. 1. listop. b. r.) akademiję muzyczną w teatrze. Jedno z pism wiédeńskich takie o tym koncercie wyraża zdanie: »W skrzypcach Serwaczyńskiego spoczywa rój śpiących duchów muzyki, których on czarodziejskim smyczkiem swoim budzić i ożywiać umié, ażeby ich radosne, lub smutne, jęczące tony porywały duszę naszę i nastrajały do czci i uwielbienia tego, który według planu używa ich w samym kwiecie działań i pośród najczystszéj harmonii. Waryjacyje jego z polskiego tematu były »przypomnieniami o muzyku Slawik;« te i koncert na skrzypce Lipińskiego, elektryzowały serce i duszę, i zanurzały słuchacza w morze uniesienia. Oklaski, które odbiérał, były więcéj zasłużone, niż wielkie, wszelako większe, niźli ich tu doznał który wirtuoz na skrzypcach.«

Z Lipska. Od niejakiego czasu księżniczka Amalia Saska, pod przybranem imieniem autorki »Kłamstwa i prawdy,« wydawać zaczęła dramatyczne dzieła, odznaczające się rzadką oryginalnością. Ostatniemi dniami ukazało się nowe jéj drama, pod tytułem: *Das Fräulein vom Lande*, odznaczające się zaletami nie mniejszemi od poprzedzających. Od półtrzecia roku jest to już ósma komedyja, oddana pod sąd publiczny przez dostojną autorkę.

Romans we dwóch tomach Juliusza Janin: *Le chemin de traverse*, robi takie wrażenie w Paryżu, że eleganci noszą go w umyślnie na to robionych kieszeniach surdutowych, które się *kieszeniami Jul. Janin* nazywają.

Ze śmiercią spiewaczki pani Malibran nie wszelka jeszcze zginęła nadzieja dla sztuki. W Genui ma ona siostrę, będącą w najwyższym stopniu wirtuozką w spiewie. Wieczorem, w którym doniesienie o śmierci pani Malibran przybyło do Genui i rozeszło się w teatrze, siostra jéj grała właśnie Desdemonę, ulubioną rolę zmarłéj, i na wiadomość tę zemdlała. Lecz wkrótce opamiętawszy się, spiewała z nigdy jeszcze niesłyszanem uniesieniem i doskonałością, tak, że się zdawało, iż duch jéj siostry ją natchnął. Genueńczykowie uwierzą teraz w przechód dusz z jednego ciała w drugie.

Spiewaczkę pannę Tosi ubóstwiano roku zeszłego w Ankonie w całém znaczeniu tego wyrazu. Występowała w *Normie* Belliniego i 1) przyjęto ją 8 minut trwającémi oklaskami; 2) po pierwszym akcie przywołano cztery razy; 3) na początku drugiego aktu osypano deszczem kwiatów; 4) uwieńczono koroną z róż, którą ulotny Amor na głowę jéj wkładał; 5) z wielkiemi okrzykami wezwano do powtórzenia duetu; a po 6) w drugim akcie po skończeniu opery pięć razy przywołano. Gdy powracała do domu, towarzyszyła jéj muzyka wojskowa z całym chórem w kostiumie teatralnym i z 70 młodymi ludźmi, niosącymi pochodnie i wydającymi ciągłe wiwaty. Zdarzenie to zupełnie jest prawdziwe i nic ma w niém najmniejszéj przesady.

W Paryżu wychodzi nowa gazeta dla myśliwych, która i za granicę rozsyłaną bywa. Jeźli jéj wydawcy połowę tylko kłamstw umieszczą, opowiadanych przez myśliwych, to im nigdy na osnowie do pisania nie zabraknie.

P. Lebas, który postawienie obelisku z Luxor z tak wielką wykonał zręcznością, zaproszony został z Paryża do Petersburga, dla podźwignienia dzwonu, koło którego wszystkie usiłowania były dotąd daremne. Spodziewają się, że ten dzielny architekt do skutku to przywiedzie.

Donoszą z Veracruz w Ameryce południowéj, że o 5 godzin drogi od Jalapy, odkrył przypadkiem pewien pasterz, szukając zabłąkanych owiec, starożytne, według podobieństwa duże miasto lawą zalane. Na największym gmachu tego odwiecznego grodu rośnie teraz duże drzewo. Znaleziono kościotrupy ludzi nieżywych, zagrzebanych w postawie siedzącej. Historyja niepodaje najmniejszego śladu o tém mieście. Z Mexyku posłano tam wojsko, a z Veracruz pojechał dowódzca dla dozoru przy odkopywaniu, spodziewają się bowiem znaleźć znaczne skarby.

*) Szanowny autor dzieła tego przebywa teraz między nami we Lwowie. (Przyp. Red.)

Steinholm donosi w swoich »Dziejach narodu szwedzkiego,« że już na 500 lat przed Kolumbem okręty skandynawskie pływały do Ameryki i przywoziły z tamtąd różne produkta.

Każdy sułtan, obejmując panowanie, posyła do grobu Mahomeda suty całun, na którym wyszyte są słowa koranu. Całun ten kładą na grobie proroka, przezco uświęconym zostaje. Leży on tam tak długo, dopokąd sułtan nie umrze i wtedy dopiero w uroczystym orszaku odwożą go na powrót i kładą na trunnie sułtana. Jestto trafny sposób przypominania mocarzom świata o śmierci. Podobne to jest do owego niewolnika, który w Rzymie stawał za zwycięzcą na rydwanie tryumfalnym, i pośród radości i uniesień ludu szeptał mu w ucho: »Pomniéj, żeś człowiekiem, i że umrzéć musisz!«

Używanie kapeluszów zaczęło się pod panowaniem Karola IV., króla Francyi, w połowie 14go stolecia. Kapelusze miano wtedy za tak próżną ozdobę, że arcybiskup paryzki, wydał rozkaz do wszystkich księży, ażeby wstrzymali się ze mszą, skoro kto w kapeluszu do kościoła wejdzie. — Karol V. nosił mały aksamitny kapelusz i gdy wojsko swoje r. 1547 przeglądał, a właśnie deszcz padać zaczął, zdjął go, ażeby nie zmókł. — Piérwsze jedwabne pończochy nosił Henryk II., król Francyi, w r. 1557; w Anglii królowa Elżbieta w r. 1561. — Piérwsze śpilki robiono w Anglii r. 1543. Do tego czasu używały damy do zapinania małych ostrych kolców drewnianych. Dopiero w r. 1440 pewien Norymberczyk, imieniem Rudolph, wynalazł robienie drutu.

Przemysł Lukańczyków. Owi wędrujący kramarze, których w całéj Europie z figurami gipsowémi widzieć można, wszyscy prawie sąto Włosi, rodem z Lukki. Część mieszkańców kraju tego żyje z gipsu, który w ich ojczyznie w obfitości się znajduje, a który oni swojémi wprawnemi rękoma przemieniają bądź w Apolina Belwederskiego, bądź w Wenus Medecyjską, bądź w pagodę. Ci wyrabiacze różnych rzeczy z gipsu, których liczba do 20,000 dochodzi, dzielą się na 3000 stowarzyszeń, każde z 6 do 7 osób złożone. Wielu z tych artystów chodzi po całym świecie i dzięki ich oszczędnemu życiu, wszyscy ze znacznym zapasem do ojczyzny powracają. Przemysłowość Lukańczyków już w dawnych wiekach znaną była, a Krzysztof Kolumb z żalem powiedział: »Czemu też nié ma Lukańczyków w nowym świecie!« czegoby teraz nie był powiedział, bo ich tam aż nadto.

Most diabelski. W Alpach znajduje się wiele mostów, których założenie lud jednakowym sposobem diabłu przypisuje, a o czém powieści z ojców na syny przechodzą. Wszystkie te mosty mają blizko lat 200. Pochodzą one z owego czasu, który po zwycięztwach wolności nastąpił. Szwajcarowie, zruciwszy z siebie jarzmo obcego panowania i niewoli, siłę swoję, używaną dotąd przeciw obcéj przemocy, zwrócili potem przeciw naturze, usiłując ją ująć w swoje pęta: bo wzburzony naród nie zaraz do spokojności powraca, a wiek następujący po epoce wewnętrznych zaburzeń i rozruchów, jest często wiekiem jenialności.

Wallensztein i Kroat. Wallensztein jechał raz w powozie z Pappenheimem przez bardzo zabłoconą ulicę. Kroat pewien, zapewne pijany, przejeżdzając także tamtędy przypadkiem, i nie zważając na swojego naczelnika, przypuścił konia w galopie, i wodza błotem obryzgał. Dumny Wallensztein podnosi się z gniewem w powozie i woła na gwardyję: »Powiesić tego łotra!« Usłyszawszy to nieszczęśliwy Kroat zwraca konia, w rozpaczy dobywa z siodła pistoletu i strzela do księcia, tak, że kula pomiędzy nim a Pappenheimem do powozu wpada. »Puśćcie go, puśćcie! niech jedzie!« rzekł Wallensztein ozięble i siadł spokojnie w powozie.

O czole. Lavater nazywa czoło najpewniejszym pomnikiem i stolicą ducha. Herder mniema: Nie wiém, jak patrzącemu się może być czoło obojętném, albowiem za tą zaporą niezawodnie lub gracyje śpiéwają, lub knują cyklopy, i jest ono widocznie dla tego od natury utworzonem, ażeby albo rozjaśniło, albo zaciemniło oblicze.

Antoni Galland, rodem z Rollo w Pikardyi, był profesorem języka arabskiego w król. kolegijum w Paryżu i autorem znanych powszechnie, tudzież na wszystkie języki tłumaczonych powieści: *Tysiąc nocy i jedna*. W dwóch piérwszych częściach tych powieści każdą z nich zaczynał temi wyrazy: »Kochana siostro, jeźli nie spiesz jeszcze, to powiedź nam którą z swoich ładnych powieści.« Jednostajność wstępu tego nie podobała się czytającej publiczności, i Galland doznał za to nie jednego przycinku. Kilku młodych ludzi, jedząc raz razem w jednéj traktyjerni wieczerzę, postanowiło zrobić sobie tym sposobem żart z panem Galland. Idąc koło północy po przed dom jego, wołali: »Mości Galland! mości Galland!« a to tak długo, aż się profesor obudził i przystąpił do okna. »Czego panowie chcecie tak późno?« rzecze Galland w złym humorze. »Czy wćpan jesteś panem Galland?« odezwał się jeden z młodzików do profesora, który stojąc w koszuli przy oknie, drżał z zimna. »Ja nim jestem, mój panie,« odrzekł Galland, »cóż za interes?« — »Pan Antoni Galland?« — »Ten sam.« — »Profesor języka arabskiego przy kolegijum królewskiém?« — »Tak jest, lecz o cóż chodzi?« — »Autor wybornych powieści: *Tysiąc nocy i jedna?*« — »Ten sam, ten!« — »Lecz czyto wćpan jesteś w istocie, bo my tylko z tym sławnym autorem mamy do mówienia?« — »Ależ do licha! powiadam, że ja nim jestem.« — »Kiedy więc wćpan jesteś w samej rzeczy tym samym panem Galland i nie spiesz jeszcze, to opowiedz nam którą z swoich ładnych powieści.« Na to całe towarzystwo parsknęło ze śmiechu, a przeżartowany Galland z gniewem zatrzasnął okno. Odtąd wystrzegał się w późniejszych powieściach swoich używać zwyczajnego wstępu.

Próba na zalotne żony. Pewien mający ładną młodą żonę, był o nią zazdrosny i zdawało mu się, że ma przyczynę do tego, ponieważ jeden z młodzików ciągle go najwięcej wieczorami odwiedzał, a co mu się wcale nie podobało. Lecz jak się tu przekonać, czy miał słuszny powód do zazdrości? Wymyśla więc następujący szczególny sposób: w kieszonkę od kamizelki kładzie czernidło. Skoro ów młody człowiek znowu wieczorem przybył z wizytą i wszystko troje bawiąc się pogadanką na sofie siedzieli, pan małżonek umyślnie gasi świécę. Sięga do kieszonki, gdzie było czernidło, czerni sobie niém rękę, a przepraszając młodą żonę niby za niezręczność, iż zgasił świécę, głaszcze ją po twarzy, a oczernioną tym sposobem zostawia sam na sam z młodzikiem i wychodzi kazać świécę zapalić. Wróciwszy poznał, że żona jego całowała się z kochankiem, bo ten całkiem zczernione miał usta. Tak więc przekonał się zupełnie o niewierności swéj małżonki.

Mody. Nawet adresy listowe podlegają modzie. W Paryżu żaden człowiek dobrego tonu nie adresuje teraz listu, jak dawniej adresowano. Według mody z przodu na kopercie kładzie się numer domu, tudzież nazwa ulicy, dopiero potem na dole téjże pisze się imię osoby i t. p. Pieczątka powinna być jak tylko można najmniejsza, a laku używa się albo zielonego, albo białego.

Sprostowanie. W przeszł. Nr. Rozm. na str. 394, 2giej przedz., w wiérszu 17m z góry, zamiast: *wapna gaszonego*, powinno być: niegaszonego.

Redaktor Jan: Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.